Należytość pocztową opłacono gotówką.

Murzynek



Nakładem
Sodalicji św. Piotra Klawera
dla misyj afrykańskich.

Rok XIV. Marzec 1926. Nr. 3.

„Murzynek“ pisemko misyjne, katolickie, ilustrowane, dla dzieci i młodzieży, wychodzi w języku polskim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim, czeskim, słoweńskim i węgierskim.

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującemi adresami:

Warszawa: Sodalicja Klawerjańska ul. Warecka 10, m. 5, **Kraków:** ul. św. Marka 25. — **Poznań:** ul. Szymańskiego 6. — **Wilno:** ul. Sawicz, 1 m. 4. II. p. — **Częstochowa,** ul. Panny Marji, Nr. 60 (aleje) — **Gniezno:** p. Anna Potulna, ulica Kolegjaty 2. — **Kielce:** p. Marja Kasperska, ul. Bazarowa 16, m. 8. — **Siedlce:** p. Jan Sapiecha, ul. Warszawska 10. — **Wrocław:** Hirschstrasse 33. — **Rzym:** Sodalizio di S. Pietro Claver **(Roma [23]),** via dell'Olmata 16. — **Ameryka:** Sodality of St. Peter Claver 1219, Fullerton Building, **St. Louis, Mo.**

Ofiary nadesłane

do Krakowa, Warszawy i Poznania

w listopadzie 1925

(w złp.)

Na Ligę dzieci: Ks. Maik 10·06, H. Świercówna 20·—, Aleksandrowicz 6·10, Kaszubianka 5·10, Piniecka od dzieci z D. 13·=, z drobnych ofiar i bez wyszczególnienia 48·47.

Dla dzieci murzyńskich: O. Pietrasówna 10·—, Ks. B. Stefan od dzieci szkoln. z Z. 12·—, J. Makuch 5·50, Ks. Onoszko 14·—, Adamiakówna 7·— Nawrotkowa 5·—, z drobnych ofiar i bez wyszczególnienia 73·50.



Św. Józefie, Żywicielu i Opiekunie Bożej Dzieciny, módl się za nami i za biednymi murzynkami!

Frania,

mała protegowana Sodalicji św. Piotra Klawera.

Przez Mgr. Nouet'a, Ojca białego, prefekta apostolskiego Ghardaia.

Uroczysty obchód święta muzułmańskiego, Aid-el-Kebir, dosięgał szczytu. Wszyscy mężczyźni z dzielnicy arabskiej, otuleni białymi burnusami, w śnieżno białym zawoju na głowie, przytrzymanym paskiem skóry wielbłądziej, zstąpili w koryto rzeki, płynącej wzdłuż miasta Ghardaia. Tam, na wiecznie suchym piasku, pochylili się kornie, zwartym szeregiem do długiej modlitwy. Poczem, posiadłszy

ze skrzyżowanemi — zwyczajem arabskim — nogami, wysłuchali w skupieniu kazania »imam«, kapłana ich obrządku.

Opodal na stromym wysokim brzegu, skąd dobrze widać czcicieli Ałłacha, zebrały się dziewczęta. Baczne, by nie uronić i najdrobniejszej ceremonji, posiadły gromadkami ciche i poważne. Radość i duma błyszczy w czarnych oczętach, radość na widok tej wiary głębokiej, niewzruszonej, której są świadkami; radość z powodu własnych nowych strojów świątecznych o barwach tak żywych; radość na myśl o czekającej je smacznej wieczerzy... Dzieci to jeszcze, w wieku od ośmiu do piętnastu lat: muzułmanki wszystkie, ale chodzą do szkoły Białych Sióstr i kochają je jak matki.. Jest między niemi jedna mała murzynka, dziewczynka wątła, bodaj dziesięcioletnia, o drobnej chudej twarzyczce, o oczach żarzących się jak dwa djamenty, rzucających od czasu do czasu błyski silnej zdecydowanej woli. Ubrała się dziś w swą najbardziej znoszoną sukienkę, jakby chcąc zamanifestować, że nie uznaje powszechnego święta, że ma je sobie za nic — bo jest chrześcijanką! Zostawiła w domu starszą siostrę Łucję i przybiegła zabawić się widowiskiem religijnem. Nie wyśmiewa się jednak z niczego, naraziłoby ją to bowiem na naganę; ale uśmiech drwiący błąka się wokoło ust: widać jasno, że w myślach układa sobie zarzuty.

*
* *

I w istocie. Następnego dnia zebrały się te same dzieci na podwórku szkolnem Sióstr. Czekają na dzwonek na otwarcie klas. Grzeją się w słońcu, bawią perełkami, lepią z gliny drobne naczynia, lecz przedewszystkiem rozmawiają, rozmawiają jak dorośli na temat minionego święta. Niema między niemi fanatyczek. Na dnie ich serc,

nie wiedzących jeszcze co to rozumowanie, przeziera jednak już wątpienie, wnikające tam mimowoli z otaczającego je powietrza. Jak często bowiem słyszą w domu zdania: »Siostry lepsze są od najgorliwszych muzułmanów; bardzo możliwe, że prawda jest po ich stronie!...« Ojcowie zaś i matki, chociaż sami trwają wiernie przy codziennych religijnych obrządkach, pozwalają dzieciom na odmawianie »Ojcze nasz« i »Zdrowaś«. Nic piękniejszego dla nich nad tę modlitwę Pańską, a na słodkie imię Marji chylą kornie czoła. Sam »imam« to pochwala... Nadejście jednej z Sióstr przerywa rozmowę i zabawy; czas już wejść do klasy. Zaraz rozpocznie się lekcja religji. Ale zakonnica nauczycielka zajęta jeszcze gdzieindziej; porządek wśród uczennic utrzymuje Łucja, starsza siostra małej murzynki, którą już znacie. Dobra z niej dziewczynka, łagodna, ale bardzo nieśmiała. Trzcina, oznaka jej władzy, zdaje się ją samą napełniać lękiem. Trzyma ją w ręku, by objaśniając obraz lepiej móc pokazać co trzeba, opowiada, tłomaczy, ale tak cicho, bez żadnego widocznego zapału. Omawia pierwsze przykazanie i cześć winną Bogu-Stworzycielowi Nieba i ziemi. Klasa nie uważa: małe marzą jeszcze o łakociach, których wczoraj z okazji święta używały do syta, a wyciągnąwszy perełki bawią się niemi pokryjomu; starsze nudzi ten blady mdły wykład, powtórzenie raz już słyszanej lekcji...

»Dość już o tem, — przerywa wreszcie jedna z nich. — Jesteś chrześcijanką. A więc powiedz nam lepiej jasno i wyraźnie, dlaczego i jak się modlisz... Miło słuchać, jak śpiewacie wspólnie w kaplicy, ale co mówicie wtedy?...« Ze wszech stron zrywają się pytania: »Jaki on jest ten twój Pan Bóg? Dlaczego nie brałaś udziału we wczo-

rajszem święcie?... Żebyś nam tak opowiedziała o Sidna Aissa! (Jezusie Chrystusie).. Czy i my kiedyś będziemy oglądały Boga? O bo my chcemy iść do niego, chcemy za wszelką cenę!...«

Pytania bez końca, spostrzeżenia najdziwaczniejsze, najrozmaitsze uwagi, lecz bez cienia złośliwości, zasypują Łusię. Nieśmiała nauczycielka stoi oniemiała: nie potrafi tak prędko znaleźć stosownych odpowiedzi. Wobec jej zakłopotania, wo bec milczenia długiego — klasa wybucha śmiechem. Tego już za wiele dla Frani, nie może dłużej wytrzymać. Chwyta trzcinę z rąk siostry... Drży cała. Ona dowiedzie tym muzułmankom, że zna dostatecznie prawdy swej wiary, by wyjaśnić ich wątpliwości, odeprzeć zwycięsko wszystkie ich zaczepki... Jej śmiałe niespodziane wystąpienie, siła bijąca z wejrzenia, z ruchów przywracają ciszę w jednej chwili. Zaczyna mówić mała wyznawczyni; z zapałem, z ogniem najwymowniejszego kaznodziei, którego słów słucha się z zapartym oddechem. I słucha cała klasa... Zbliżają się starsze, małe chowają perełki... Cisza, jak makiem zasiał...

»Tak, jestem chrześcijanką, jestem nią jak i moja siostra, której nie słuchałyście jak należało. I właśnie dlatego, ponieważ jestem chrześcijanką, nie brałam wczoraj udziału w święcie. — Święto to niegodne nas chrześcijan, którzy znamy i czcimy prawdziwego Boga... Bóg chrześcijan, to Bóg jedynie prawdziwy — a jaki jest? W jednym Bogu są trzy Osoby: Bóg Ojciec, Bóg Syn i Bóg Duch święty. Patrzcie, oto przed chwilą lepiłyśmy z gliny różne przedmioty. Otóż by zrobić garneczek, potrzeba gliniastej ziemi, palonej tłuczonej gliny i wody. Trzy więc różne odrębne rzeczy składają się na zrobienie garnka, a jednak jest on jeden tylko.«

Dowód oczywiście niezbyt teologiczny, ale zato zupełnie oryginalny i na swój sposób rzucający pewne światło w umysły dziewczynek. Mały profesor zresztą wykluczył z góry wszelką możliwość opozycji. »Tak jest« bo ja wam tak mówię i — koniec; wy, muzułmanki i tak nie rozumiecie się na tem«.

Wkońcu ostatni najoczywistszy argument: »Będziecie wszystkie potępione; ani jedna z was nie ujdzie piekła, jeśli mi nie uwierzycie«.

I głos podnosi w zapale coraz to więcej, mnoży dowody, zwalcza coraz gwałtowniej zarzuty... Czy pozyskała słuchaczki, przekonała je? Nie wiem... W każdym razie wywarła silne wrażenie. Ustały spory. Oczy napełniają się łzami, tu i tam słychać stłumione łkanie, podczas gdy z ust nieubłaganego kaznodziei coraz groźniejsze padają gromy na głowy słuchaczek przeznaczonych bez litości na wieczne potępienie.

Przybycie Siostry kładzie wreszcie koniec tej druzgocącej przemowie... Z trudem udaje się dobrej zakonnicy osuszyć łzy, uspokoić przerażone straszną nieuniknioną przyszłością dziewczęta, które nie chcą iść w ogień piekielny.

* * *

W kilka dni później mała Frania leżała chora, nowy paroksyzm febry, która dość często daje się biedaczce we znaki... Tuż obok maty swej, rozłożonej na gołej ziemi, pragnęła mieć — ot zachcianka dziecka — figurkę Dzieciątka Jezus w żłóbku. Wyciągając rączkę, wkłada ją od czasu do czasu w rączkę Bożej Dzieciny. Kilka jej towarzyszek, słuchaczek pamiętnego wykładu, przyszło ją odwiedzić:

»Siostro — powiada jedna z nich, zwracając się do Zakonnicy-nauczycielki — i jabym chciała być chorą, by mieć Sidna Aissa tuż przy sobie.

»Będziesz go miała wkrótce, nie tylko przy sobie, ale w sobie — uspokaja ją zakonnica. — Skoro bowiem zostaniesz chrześcijanką, Jezus weźmie w posiadanie twe serduszko i zamieszka w niem«.

Tłumaczenie dwóch liścików

dziatwy z Heirachabis (Afr. połud.), przesłanych Generalnej Kierowniczce Sodalicji Klawerjańskiej na dzień jej imienin.

Droga Pani i Matko!

Powiedziała nam Siostra, że niedługo już Pani imieniny; nie chcemy, my malcy, pozostać w tyle za starszemi. Życzymy naszej dobrej Matce dobrych, miłych imienin. Niech Jej Bóg pomaga we wszystkiem, niech żyje długo, długo! Modlimy się za Panią. W na-



szym kraju panuje wielka susza. Szarańcze pojadły i zniszczyły wszystko. To też wszystko ma strasznie smutny wygląd. Dziękujemy bardzo za przesłane dla nas śliczne spodeńki. Bieda u nas wielka, więc niema za co kupić dla nas ubrań; drzemy też dużo, bo jesteśmy bardzo dzicy i rozhukani. Czasem jesteśmy też

niegrzeczni. Modlimy się za Panią i przesyłamy naszej dobrej Matce dużo pozdrowień.

Jej dzieci

Karol April . . . . .

(Następuje szereg podpisów. Te z dzieci, które same nie umiały jeszcze napisać swego imienia, oznaczyły to zrobionym własnoręcznie przy imieniu krzyżykiem).

Droga Pani i Matko!

Wszystkie dzieci z Heirachabis życzą swej Dobrej Matce w Rzymie miłych imienin. Modlimy się za Panią i nasza pierwsza Komunja święta będzie dla Pani. Chusteczki (dwie zrobiłyśmy same) są od nas. Cieszyłybyśmy się bardzo, żebyśmy mogły Panią zobaczyć. Matko, nie przyjedziesz do nas? Bardzo to daleko i kraj nasz nie dobry jest dla innych ludzi.

Wiele, wiele pozdrowień

Twoje dzieci

Katarzyna Izaak.....

(Następuje szereg podpisów.)

Mały Michaś Lisasé.

Przez W. Ojca Colle, misjonarza ze Zgromadzenia Ojców Białych.

Nareszcie — po siedmiogodzinnym uciążliwym marszu pod palącemi promieniami słońca, przez nagie wzgórza Uruy — dotarłem do wioski wodza Lukwente. Złożywszy powitanie według miejscowego zwyczaju, przechadzam się zwolna między szeregiem chat i szałasów, prostych, ale dobrze porozmieszczanych, racząc się orzeźwiającym chłodem wieczoru. Napawam się pięknem tej dzikiej natury, równocześnie zaś staram się nawiązać rozmowę z mieszkańcami.

Nagle, zdało mi się, że słyszę jęk jakiś w otaczającej mnie wysokiej trawie, podążam więc w tę stronę i dostrzegam w lichym szałasie, dostępnym wiatrom i deszczom, biednego opuszczonego chłopca, lat może dziesięciu. Wychudłe ciało, twarz trupioblada o zapadłych głęboko oczach, świadczą wymownie o ciężkiej długiej chorobie, która go do tak opłakanego przywiodła stanu. Żebyż chociaż miał matkę swą koło siebie! Ale nie.. Łachmany które go okrywają, brud, panujący wszędzie, zimny popiół na kominie, wszystko to wskazuje, że miłość, litość tu nie mieszka, że dziecko to jest w zupełnem opuszczeniu, jednem słowem: że to niewolnik. Czyż można pozostać nieczułym na taką nędzę? Pochylam się nad nieszczęśliwym, porządkuję jako tako łachmany, staram się pocieszyć go dobrem serdecznem słowem, rozpalam dawno wygasły ogień. Rozbłyskująca wesoło iskra ożywia go trochę, odczuwa we mnie przyjaciela szczerego, i powoli, powoli daje się opanować ufnej radości. Zaczynamy gawędzić.

»No i cóż, drogi malcze, co robisz tutaj, sam zupełnie? Wyglądasz mi na porządnie chorego!...

Tak, Bwana, cierpię bardzo... Kaszlę dzień i noc. Daj mi jakie lekarstwo, jeśli masz przy sobie.

Dam ci, dam, i bardzo dobre nawet... Ale powiedz mi, gdzie twoja matka?

— Moja matka? O ona bardzo daleko, daleko — w Mulenga.

— A któż cię pielęgnuje, kto ci daje jeść?

— Jestem niewolnikiem wodza Lukwente. Temu trzy księżyce (miesiące) zachorowałem. Pan mój, myśląc, że umrę, kazał mnie tutaj przynieść. Każdego ranka, żona jego przynosi mi trochę korzeni manioku, trochę wody, i tak żyję jeszcze...

— Ale dlaczego jesteś niewolnikiem?

— Bwana, ja czuję, że ty mnie kochasz; więc opowiem ci wszystko«.

I wśród męczących częstych ataków kaszlu powierza mi malec następującą historję:

»Żyłem sobie szczęśliwie z rodzicami i dwiema młodszemi siostrzyczkami w wiosce wodza Malali w Balai. Największą moją przyjemnością było zakładanie wespół z dwoma rówieśnikami sideł na ptaki, pułapek na dzikie koty. Tegoż roku był zbiór kukurydzy bardzo obfity, tak że Malala zaprosił wszystkich sąsiadów do siebie na »pombe«, (rodzaj piwa). Ojciec mój wypił za wiele i upił się. Jeden z mniejszych wodzów rozpoczął z nim sprzeczkę. Ojciec mój, mocniejszy, powalił go na ziemię, obrzucając go gradem obelg i klątw; poczem rozeszli się wszyscy. Niestety w trzy dni po zajściu zachorował ów wódz i umarł. Rodzice jego posądzili odrazu mego ojca, że to on rzucił na niego przekleństwo i udali się czemprędzej do słynnego wróżbiarza w Lualaba. Ten, zasięgnąwszy rady duchów, otrzymał od niego wskazówkę, że ojciec mój jest czarownikiem.

W jednej chwili zbiegli się wszyscy do naszej chaty, uzbrojeni w dzidy i strzały. Pochwycili mego ojca, związali, bili, włóczyli po ziemi. — Wkońcu rozpłatał syn zmarłego dwoma uderzeniami topora głowę biednemu memu ojcu, zostawiając trupa dzikim zwierzętom na pożarcie.

Ale jeden z Karanzich (ludożerców), świadek morderstwa, przywoławszy kilku towarzyszy, zebrał do naczyń jeszcze dymiącą krew ojca, poczem zawinęli ciało w sieć od polowania, ponieśli na brzeg rzeki i tam poćwiartowali. Wrzucili je potem do wielkiego kotła, upiekli i, jak dzikie hieny, pożarli, pokrapiając krwią zebraną.

Bwana, ty wzdrygasz się na to opowiadanie. A jednak, to prawda; rzeczy takie powtarzają się u nas dość często.

Matka moja tymczasem uciekła, wraz z dwiema memi małemi siostrzyczkami, ja poszedłem do jej krewnych. Ale syn owego wodza, uważając, że jeszcze nie dość zemsty, upomniał się o mnie, wziął jako niewolnika, później sprzedał wodzowi Lukwente. Od chwili tej minął już nowy zbiór kukurydzy.

O nie zapomnę nigdy rozdzierającego krzyku ojca, gdy go ujęto, ani dzikiego wycia nieprzyjaciół!... A do tego jeszcze, na każdym kroku, co chwila spotyka mnie pogarda, obelga: »Syn czarownika, syn mordercy!...« Gdy chcę odpowiedzieć, biją mnie. Bwana, taki jestem tem wszystkiem zmęczony... A resztę – już wiesz...«

— Tak, mały przyjacielu, dość już... Rozumiem, jak bardzo jesteś nieszczęśliwy. Jestem Bwana z Lukulu. Przyszedłem tu umyślnie, by odnajdywać opuszczonych niewolników i wziąć ich wszystkich do siebie, do mego domu. Mam ich już tam dość dużo, niektórzy są w twoim wieku, podoba im się u mnie. Chodź i ty, a mam nadzieję, że wrócisz do zdrowia... Tymczasem zaśnij spokojnie! Pomówię z twym panem — i jutro każę cię przenieść do misji. Do zobaczenia. Dobranoc, chłopcze!

»Dobranoc, Bwana« — odpowiedział nieśmiało biedny chory. Radosna zapowiedź zaskoczyła go; wzrok jego, pytający i szczęśliwy zarazem, zdawał się mówić: Czy to możliwe?... Byłożby to prawdą?...

Tak, dziecię drogie, to prawda... I tylko jednego mi żal: że nie mogę wykupić wszystkich podobnie cierpiących...

(Dokończenie nastąpi.)

Pierwiosnek.

(Ciąg dalszy.)

Pogrzeb.

Pochód żałobny był piękny i imponujący. Otwierało go Bractwo Miłosierdzia; czterech członków Bractwa niosło na barkach małą trumienkę, okrytą białem suknem; poczem Bracia Mniejsi św. Franciszka i kler parafji św. Piotra Somaldi'ego, za trumienką szli krewni i przyjaciele rodziny, tuż za nimi druchny Najśw. Sakramentu z kwiatami, cztery z nich szły po bokach trumny, bezpośrednio za niemi Dzieci Marji i te z bukietami kwiatów, a dalej długi szereg dziewczynek i panien, które przybyły z własnej woli z wszystkich stron miasta. Kilka panien zaofiarowało się nieść wieńce, złożone przez rodzinę, przyjaciół i znajomych i jeden przez Braci Mniejszych. Nie był to orszak żałobny, ale raczej pochód prawdziwie tryumfalny. Odprowadzono Anioła.

Przeniesienie zwłok.

W kilka miesięcy po śmierci Emmy »Emanuel«, czasopismo eucharystyczne w Turynie, podało krótką jej biografję, którą cechowała nadzwyczajna prostota. Biografja ta była jakby iskrą, która przebiegła Europę, owszem świat cały, budząc powszechny podziw i cześć. Zapragniono ogólnie z własnej inicjatywy, żeby zwłoki drogiego Aniołka przeniesione zostały z ogólnej części cmentarza do prywatnego grobu. Ze wszech stron dochodziły autora niniejszych kartek nalegania o urzeczywistnienie tego pobożnego pragnienia. Ale jak to przeprowadzić? Brakowało środków, a wydatki z tem połączone, były dość znaczne.

Po długiem i dojrzałem zastanowieniu pomyślano powierzyć Emmie tę sprawę, prosząc, ażeby ona sama nakłoniła serca swych wielbicieli do otworzenia sa-

kiewek i zorganizowano publiczne podpisy. »Emanuel« ogłosił odpowiednią odezwę, której skutek przewyższył oczekiwania.

Podajemy dosłownie artykuł »Emanuela«, ogłaszający wspaniałomyślnym czcicielom dokonane przeniesienie zwłok.

Rankiem 1-go maja r. b. zostały przeniesione z ogólnej części cmentarza i złożone do grobu prywatnego N. 15. w łuku 19. zwłoki Emmy, dziecka Juljusza Mariani'ego. Zadośćuczyniono w ten sposób żywemu pragnieniu, wyrażonemu przez pobożne osoby, których liczba wzrastała coraz bardziej zwłaszcza odkąd »Emanuel« ogłosił krótką biografję, odtwarzającą szczególniejsze dary Boże, które Pan Jezus Eucharystyczny, co nie pogardza maluczkimi, wylał na tego aniołka, liczącego niewiele więcej nad trzy lata, a już czującego tak silną miłość ku Panu Jezusowi, że Ten stał się dlań jedynym przedmiotem uczuć i pragnień.

Po wydanej później przez »Emanuela« odezwie i rozpoczęciu zbierania podpisów zaczęły napływać z całych Włoch, a nawet i z Chin, ofiary nieraz i znaczne pod adresem kanonika Franciszka Della Santina na ten cel, przewyższając wkrótce sumę 500 lirów. Dnia 1-go maja mógł więc już tenże kanonik Della Santina, za zgodą szczęśliwych rodziców, w obecności urzędnika sanitarnego, dwóch członków rodziny i stróża cmentarnego, urzeczywistnić pobożne życzenie czcicieli małej Emmy.

Z tej okazji napisał ks. kanonik prof. Jan Barsotti następujące słowa w formie oficjalnego adresu, który na pergaminowym papierze umieszczono w trumnie.

Lilja wybrana przez Boga — nie odrósłszy jeszcze od ziemi — Emma Mariani — otworzyła się przeczyście w niebiosach — w południe 26 lipca 1916 — w wieku zaledwie lat 4, miesięcy 8, dni 20 — szczera dzieweczka — poznała przedwcześnie miłość Bożą —

którą zapalona nadzwyczajnie — uznana za godną Uczty Eucharystycznej — przez Spowiednika, wybranego przez nią samą — niczego więcej nie pragnęła — jak karmić się codziennie Chlebem Aniołów — wszystkim przeto wydawało się niezwykłem — krótkie życie anielskiego stworzenia — po 20*) z górą miesiącach od jej śmierci — czciciele — chcieli jej tu dać godniejsze miejsce spoczynku — dziś 1 go maja 1918.

Na grobie zaś położono poniższy również wiele mówiący napis tegoż samego autora:

Tu spoczywają zwłoki — Emmy Mariani — cudu natury i łaski — w wieku lat zaledwie 4, 8 miesięcy i 20 dni — znakomity kwiątek tej ziemi — przesadzony został do ogrodów niebieskich — 26 lipca 1916.

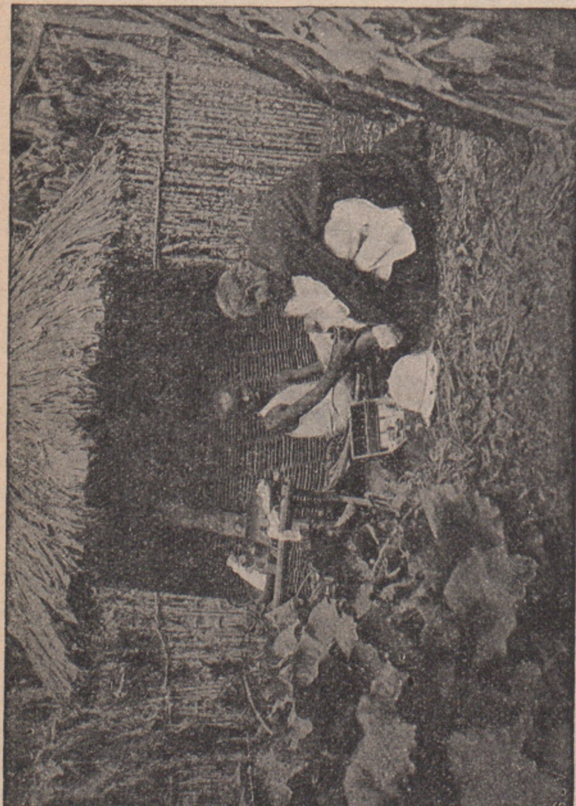
(Dokończenie nastąpi.)

Misjonarz lekarzem.

Misjonarz musi znać się potrochu na wszystkiem, nawet na sztuce lekarskiej. Pomoc i ulga, jaką przynosi biednym poganom w cierpieniach i dolegliwościach ciała, zdobywa serca ich, rozszerza, czyni przystępniejszemi dla światła prawdziwej wiary. — W jakimże to ubogim szałasie leży ta chora dziecina! Z boku u wejścia rozłożył Ojciec misjonarz swą apteczkę podręczną... Uboga ona — w Afryce tak trudno o lekarstwa! To też wszyscy misjonarze ogrom-

*) Z powodu opóźnionego o 1 miesiąc przeniesienia zwłok, należało napisać 21, a nie 20, ale, że nie przejrzano pergaminu, przygotowanego już poprzednio, przeto nie sprostowano tej pomyłki.

nie są wdzięczni dobroczyńcom misyj za dary w środkach leczniczych, bandażach i t. p., których brak odczuwają nieraz bardzo boleśnie. Kochając czarne



Misjonarz jako lekarz przy opatrywaniu ran.

swe owieczki, jak ojciec dziatki swe miłuje, pragną uszczęśliwiać je nie tylko na wieczność, ale także i w życiu doczesnem, za wzorem Chrystusa, który

»obchodząc wszystkie miasta i miasteczka, nauczając w bóżnicach i przepowiadając Ewangelię królestwa, uzdrawiał wszelką chorobę i wszelką niemoc«. (Mat. IX, 35). A więc pamiętajmy i o tej potrzebie misjonarzy!

Mówią o skowronku, że nawet ugodzony śmiertelnym strzałem, śpiewa jeszcze dalej, aż padnie martwy na ziemię, i my powinniśmy się modlić do ostatniej chwili, do ostatniego tchnienia.

Lampart i baran.

Bajka afrykańska przez Wieleb. O. Biegner'a, misjonarza w Mariannhill.

Pewnego dnia, wracając z polowania, spotkał lampart barana pasącego się spokojnie tuż koło swej zagrody. Był to okaz wspaniały, o ogromnych pięknych rogach. Lampart nie widział jeszcze nigdy dotąd takiego zwierzęcia. Zbliżył się więc zaciekawiony i zapytał:

»Dzień dobry, przyjacielu... Jakżeż się zowiesz?«

Popatrzył nań baran przez chwilę, poczem uderzając kopytem o ziemię, odpowiedział głosem zachrypłym:

»Jestem baranem... A twoje imię jakie?«

— Zwę się lampartem, odpowiedział zapytany mocno przestraszony. Pożegnał czemprędzej barana, a wziąwszy nogi za pas, uciekł co sił do domu.

Po drodze wstąpił do sąsiada swego, szakala.

»Przyjacielu«, zwierzył mu się, »takim przerażony... Widziałem zwierzę o tak dzikim, groźnym wyglądzie; ma duży łeb i silne grube nogi. Zaczepiłem je i za-

pytałem o imię, odpowiedziało mi głosem ochrypłym: Nazywam się baran«.

— Jakiś ty niemądry! wykrzyknął szakal. Baran to tak jak owca... da się schrupać z łatwością. A jaki smaczny! Poczekaj, wrócimy tam jutro razem i uraczymy się...

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyli w drogę na odnalezienie barana i zjedzenie go. Baran biegał właśnie to tu, to tam, szukając świeżej trawy na śniadanie. Skoro tylko spostrzegł obu nieprzyjaciół, wrócił do żony, uprzedzając ją, że niewątpliwie nie minie go śmierć, nie bez celu bowiem przyglądali mu się tak uważnie dwaj wrogowie.

»Nie obawiaj się niczego, mój drogi«, odrzekła owca. »Weź dziecko nasze i wyjdź na spotkanie tych zwierząt. Gdy podejdą bliżej, ściśnij silnie jagnię, niech piszczy, jak kiedy głód mu dokucza. .«

Na widok groźnego barana opanowała lamparta ta sama co wczoraj trwoga, myślał znowu o ucieczce. Trudno było jednak zemknąć, szakal bowiem, znając dobrze tchórzostwo towarzysza, przywiązał ogon jego do swego ogona mocnym sznurkiem.

Baran ścisnął jagniątko, które zaczęło krzyczeć w niebogłosy. Wtedy to zaczął je ojciec uspokajać, mówiąc: Cicho, cicho, maleństwo moje, wiem dobrze, żeś głodne... Patrz tylko, szakal przyprowadza nam właśnie lamparta, zaraz nim głód zaspokoimy...«

Posłyszał lampart te słowa złowieszcze, porwał się do ucieczki, pociągając przyjaciela za sobą. Biegł, biegł bez pamięci, nie zatrzymując się aż przed domem.

W taki to sposób wyszedł baran cało z niebezpieczeństwa...

Nakładem Sodalicji Klawerjańskiej.

Odbito czcionkami drukarni »Czasu« w Krakowie,
pod zarz. L. Wójcika.



Czy nie chciałbyś przyprowadzić

Dzieciątku Jezus do żłóbka

nowego przyjaciela Misyj?

Jeżeli tak, to zdobądź **jednego** przynajmniej nowego prenumeratora dla »Murzynka«, który potem wraz z tobą będzie wspierał biedne dziatki murzyńskie modlitwą i jałmużną. — Dziecina Boża wynagrodzi ci to sowicie. — A Sodalicja św. Piotra Klawera prześle ci w uznaniu twej gorliwości dla misyj śliczną nagrodę. Oto premje, jakie przygotowała dla tych, którzy pozyskają nowych abonentów;

Za 1 nowego prenumeratora — sześć bardzo ładnych obrazków świętych.

Za 2 nowych prenumeratorów — książeczkę o misjach.

Za 3 nowych prenumeratorów — piękny większy obraz święty.

Za 4 nowych prenumeratorów — 6 pocztówek z widokami z Afryki.

Za 5 nowych prenumeratorów — obraz intronizacyjny Najsłod. Serca Jezusowego.

Za 6—9 nowych prenumeratorów — 2 książeczki.

Za 10—15 nowych prenumeratorów — rocznik »Echa« lub »Murzynka«.

Za 16—19 nowych prenumeratorów — rocznik »Echa« i »Murzynka«.

Za 20 nowych prenumeratorów — obraz z błogosławieństwem Ojca świętego.

Do każdej nagrody dołącza się jeszcze mały notes.

Nagrody wysyła się po otrzymaniu przedpłaty (prenumeraty — wraz z dokładnym adresem) nowego prenume-

ratora, oraz po uregulowaniu własnej opłaty za rok 1926. Tak jedno, jak drugie należy uskutecznić w tej filji lub biurze Sodalicji św. Piotra Klawera, skąd »Murzynka« dostajemy.

Do dzieła więc, drogi mały Czytelniku, a ochoczo, bo tu chodzi o sprawienie radości Bogu samemu, słodkiemu Dzieciątku Jezus!

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 2.

1. Elizeusz, 2. Cejlon, 3. Hebel, 4. Osa, 5. Zebra, 6. Ałłach, 7. Franciszek, 8. Rzym, 9. Yokohama, 10. Kongo, 11. Irys.

Echo z Afryki.

Powołanie Misjonarki-Pomocnicy dla Afryki.

Może Bóg obudzi w sercu którejś z naszych Czytelniczek pragnienie poświęcenia się w dziewiczym stanie służbie Bożej i miłości bliźniego. Wybranym takim duszom radzilibyśmy przeczytać książeczkę pod tytułem:

„Powołanie Misjonarki-Pomocnicy dla Afryki".

Można ją nabyć we wszystkich księgarniach katolickich, lub w filjach i biurach Sodalicji Klawerjańskiej podanych na drugiej stronie okładki — za cenę 50 gr.